Nr. 26. Warszawa, dnia 13 (26) Czerwca 1872 roku. ROK VIII.

Seryja trzecia.

Cena prenumeraty:

W Warszawie:
rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

Na prowincyi.
rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni G. Centnerszwera ul. Marszałkowska Nr. 73; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Świat Nr. 30 (nowy).

NASZE I OBCE.

I.

Zdarzyło się, że właśnie do napisania niniejszego artykułu zabrakło mi atramentu. Zaszedłem tedy do sklepu. Odpowiadając na żądanie, kupiec, przedstawił mi do wyboru dwie flaszeczki, jednę z etykietą warszawskiej fabryki, drugą ze znakiem paryskiej firmy. — Któryż lepszy? zapytałem. — Ten z miejscową etykietą znacznie lepszy. — Czemuż więc sprowadzacie z zagranicy?—A któż by sprowadzał—odpowiedział zagadniony—jeden i drugi gatunek téj saméj fabryki miéjscowej. Dają tylko na gorszym znak zagraniczny, bo takich więcéj się sprzedaje—a własną etykietę zachowują na lepsze wyroby, dla utrzymania fabrycznej renomy.

Oto jeden fakt z tysiąca. Najdrobniejsze, najprostsze wyroby miejscowe ażeby większy miały pokup, potrzebują uchodzić za zagraniczne. Zacząwszy od papieru miejscowego z nadpisem „*Paris*" a skończywszy na „*paryskich*" kapeluszach p. Glancroka *z pod Dzwonnicy*—wszystko to smutne dowody choroby z której dotychczas wyleczyć się nie możemy. Cóż dziwnego że przemysłowcy oszukują nas, skoro sami chcemy być oszukiwani, i skoro w dodatku płacimy za to. Powinniśmy jednak pozbyć się raz téj śmieszności. Przestańmy niedowierzać własnym siłom. Dlaczegoż powodzenie miejscowego wyrobu ma koniecznie zależyć od blagi producenta?—Czyż nie jesteśmy w stanie ocenić tego co lepsze i dać poparcie uczciwej pracy?

Kto ocenia słuszność powyższej uwagi ten powinien dać sobie słowo, nie kupować więcej wyrobów których producent wstydzi się podać za swoje własne wyzyskując fatalną skłonność ogółu do firm cudzoziemskich.

Inną stronę tej saméj kwestyi, stanowią wyroby rzeczywiście sprowadzane z zagranicy z nałogu czy też z uprzedzenia, bez koniecznej potrzeby. Weźmy przykład. Prawie wszystkie *krawaty* męskie i damskie sprowadzamy z zagranicy. Czyż w kraju naszym brak ludzi na tyle pomysłowych żeby się odważyli albo własne tworzyć, albo przynajmniéj obce wzory kopijować, wyrabiając krawaty na miejscu?

Inny przykład: Proszę tylko wziąć pod uwagę, ile tysięcy rubli wysyłamy rok rocznie za granicę, sprowadzając rzeczy tak małej realnej wartości, jak np. *zabawki dziecinne*. Pochłaniamy je tysiącami, bez wyboru i bez istotnego pożytku—a w całym kraju nie znalazł się dotychczas ani jeden człowiek któryby się odważył fabrykować zabawki z miejscowych materyjałów i miejscowemi siłami! Kształcimy smak naszych dzieci na wzorach francuskich *poliszyneli* i niemieckich *haberbuszów*—zamiast z rozwagą wybierać i naśladować to tylko co dobre i rozumne—zamiast pod kierunkiem ludzi mających na względzie i dobro ogólne i własny interes—otworzyć miejscową fabrykę, racyjonalnie wybranych i obmyślanych zabawek.

Dlaczego dotychczas nie mamy takiéj fabryki? Nietrudno wykryć przyczyny. Najprzód bowiem brak nam jednostek przedsiębierczych a z drugiej strony, i co ważniejsza, jednostka taka choć się i znajdzie, nieodważy się wystąpić do konkurencyi z zagranicą, która produkując masami, stosunkowo za bezcen rozsyłać może swe wyroby—zwłaszcza—że do nas pospolicie wysyłają to, czego już na miejscu zbyć nie mogą.

Jakiż więc środek usunąć może powyższe trudności?

Bardzo prosty. **Dobra wola ogółu.** Powodzenie fabryk i sklepów zależy od poparcia ogółu. Jeśli więc powiemy sobie że chcemy mieć krajowe fabryki, krajowe wyroby, jeśli damy poparcie jednostkom które celowi temu rozum, kapitał i pracę poświęcą, jeśli zaprzestaniemy kupować masami bezrozumne wymysły niemieckiej spekulacyi—to będziemy mieli krajowe fabryki, krajowe wyroby i jeszcze zagranicę wyślemy nasze produkty.

Ale bez dobréj woli ogółu, jednostki nic nie zrobią. Ogół powinien zrobić z siebie ofiarę — wybaczać niedokładność pierwszych prób, popierać czas jakiś wyrób miejscowy—dopóki nie wyrobi się pewna liczba specyjalistów, dopóki dana gałąź przemysłu podpierana silnem postanowieniem ogółu, nie rozrośnie się należycie i nie wyda bujnych owoców.

Do tej to wytrwałej działalności brak nam niestety poczucia *drobnych obowiązków*. Umiemy się poświęcać w sprawach wielkich, ale nie umiemy uczciwych zasad naszych przeprowadzać na każdym kroku, w każdéj chwili i w najmniejszych drobnostkach. Postanówmy tedy z silną wolą popierać wyroby miejscowe i kupując jakikolwiek przedmiot zagraniczny pytać się czy nie ma odpowiedniego mu wyrobu krajowego, chociażby ten cokolwiek ustępował pierwszemu. Niezapo-

---

ŚLADY ŻYCIA.

XII.

Tyle życia, ile w czynie.

Koncert orkiestry Bilsego na rzecz funduszu imienia Moniuszki odbył się w niedzielę pomiędzy godziną 12-ą i 2-ą w Ogrodzie Saskim. Pomimo, że gazety nasze nieprzypomniały publiczności o dniu koncertu — zebrały się znaczne tłumy ludu przybrane świątecznie, ale nastrojone poważnie. P. Bilsego powitano oklaskami. Koncert rozpoczął się uwertura z *Halki*. Popiersie zmarłego Mistrza wystawione przed estradą drżące przy każdem gorętszem uderzeniu tonów, dziwne budziło wrażenia. Rozumna i szlachetna twarz zmarłego zdawała się promienieć blaskiem, a pogodny choć smętny uśmiech jak gdyby odpowiadał na serdeczny smutek tych tłumów ściśniętych około estrady i w milczeniu pochłaniających duchem, pełne powabu i prostoty melodyje zgasłego śpiewaka. Mazur z Halki dwukrotnie wykonano, pomimo, że publiczność powstrzymała się od zwykłego wołania: *bis*—oklaskami tylko dziękując p. Bilsemu za szlachetnie podjęte trudy. Jeszcze rzewniejsze wrażenie wywoła „*Pieśń wieczorna*" Moniuszki. Smętne tony niknącej jakby w oddali piosenki, mimowolnie przypominały gasnące promienie zachodniego słońca, świeżą woń rodzinnej wioski, i owe odgłosy wieczornych nawoływań i piosnek na polu.. o zmroku... które tak ukochał Moniuszko - a których już więcéj nie usłyszy. Dochód z koncertu wynosi rs. 3,000.

* *

Rozwój naszej literatury w ostatnim dziesiątku lat, może służyć z jednej strony za dowód tego, jak dalece zjawiska społeczne ulegają prawu przyczynowości, z drugiéj zaś stwierdza w sposób oczywisty prawdę, że literatura jest zwierciadłem, w którém odbija się całe życie narodu. Weźmy bowiem jakiekolwiek pismo, wydawane na początku epoki, o któréj mowa, a znajdziemy tylko powieści, poezyje, dramata, studyja historyczne i oceny tych utworów,—w owym bowiem czasie brakowało nam wyższego naukowego zakładu, a jedynymi prawie przedstawicielami naszéj umysłowości byli poeci, powieściopisarze i ich krytycy. Powstała Akademija medyczna, a po niej Szkoła Główna, i wnet w szpaltach naszych dzienników i tygodników, ukazują się z początku krótkie, później obszerniejsze sprawozdania z ruchu naukowego za granicą, rozbiory kwestyj bieżących, filozofija,—wreszcie powstają i pisma specyjalnie naukom lekarskim, społecznym i przyrodzonym poświęcone. Co jest przyczyną téj zmiany? Duch czasu mówią jedni, *my* wołają drudzy, a w istocie cała młodzież uniwersytecka, która rozproszywszy się po kraju, zbudziła w publiczności interes do nowo-powstałych gałęzi literatury i z pośród siebie wydała pisarzy, pracujących w nowych kierunkach.

Takie uwagi nasunęły się nam na myśl, przy przeglądaniu wyszłych dotąd numerów tygodnika p. n. *Przyroda* i *Przemysł*. Nie zajmowano się u nas samodzielnie naukami przyrodzonemi, a ulepszenia w przemyśle krajowym, zawdzięczamy odkryciom obcych, więc też i pismo o którem mowa, nie tyle odbija w sobie postęp naszej umysłowości na tych polach, ile stara się upowszechniać za pomocą oryginalnych lub tłumaczonych artykułów,

minajmy nigdy i nigdzie że obok względów osobistych są jeszcze względy ogólniejsze od których dobro kraju zawisło,—i niech ta moralna pobudka kieruje naszemi czynami.

Jeszcze inna strona tej saméj kwestyi. Niedosyć że bezrozumne uprzedzenie mas, skłania przemysłowców do udawania własnych wyrobów za obce—nie dosyć że sprowadzamy to cobyśmy w kraju produkować mogli, trzeba jeszcze, że niektóre z miejscowych materyjałów wysłane za granicę wracają do nas pod postacią wyrobów za ktore płacimy podwójnie. Z naszej wełny nosimy *„niemieckie”* korty—a z naszych wołów *„hamburskie“* skóry. Nie możemy dotychczas współzawodniczyć z zagranicą, a jednak i w sprawie kortów i w sprawie garbowania skór, posiadamy próby świadczące że i te działy przemysłu możemy doprowadzić do odpowiedniej doskonałości. Potrzeba tylko więcej przedsiębiorczego ducha ze strony jednostek i więcej rozwagi w rozdzielaniu poparcia ze strony mas.

Wiele jeszcze pozostało do zrobienia, ale też wiele może, kto chce. Dobrobyt materyjalny jest podstawą dobrobytu moralnego, ale usiłowania mające na celu zarówno jeden jak i drugi, winny iść z sobą ręka w rękę. Niech moralne pobudki skłaniają nas do ciągłego myślenia o powiększaniu krajowych bogactw—a zdobywanie takowych niech umacnia naszą siłę moralną, niech ułatwia postęp oświaty i moralności obywatelskiej. Dobrze myślące jednostki winny wciąż czuwać nad sobą, wykorzeniając resztę przesądów w najmniejszych drobiazgach. Tak, od drobiazgów zacząć nam wypada, bo te tylko leżą w naszéj mocy. Silna wola popierania wyrobów swojskich znajdzie na każdym kroku pole do rozumnego działania—i jeśli tylko ogół zechce zrozumieć własny swój interes — przyjdzie czas w którym rozwój licznych gałęzi krajowego przemysłu pozwoli nam za *nasze* wyroby sprowadzać do kraju *obce* bogactwa.

DRUGA MIŁOŚĆ

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(Ciąg dalszy).

Podniósł zwolna głowę i spojrzał jéj w oczy. O, jakąż śmiertelną nienawiść czuł teraz ku téj młodéj, uwielbianéj żonie, która jego zguby dopełniła. Mogła miłość była powrócić, bo rzadko umiera tak od jednego razu, ale w obecnéj chwili czuł już tylko nienawiść.

— Zgubiłaś mnie—rzekł—ale mam jedną pociechę—zgubiłaś i siebie.

— Ale jakim sposobem? — jakim sposobem?—wołała z gniewem.

— Zostawiłaś jeden numer?—weź i przeczytaj:

To rzekłszy wyszedł z pokoju. Słyszała jak schodził na dół i przysłuchiwała się jego krokom z rodzajem osłupienia. Czy rzeczywiście dotknęła go katastrofa i ją z nim razem? Czyż nie było jeszcze jakiéj rady? Czepiła się téj myśli zbawczéj, wydobyła gazetę i zaczęła chciwie czytać śledztwa sądowe po raz drugi; ale znalazła tym razem więcéj; na trzeciéj kolumnie a czwartéj stronnicy znalazła *ostatnie wiadomości* tego brzmienia:

„Przed zakończeniem tego szczególnego badania, wyszły na jaw nowe fakty. Pokazało się, że pan Kennedy, który poprzednio stawał jako świadek, był ostatnią osobą, jaką widziano w mieszkaniu nieszczęśliwego Smitha. Dowiedziano się zarazem, iż p. Kennedy przed dwoma laty kupił od pana Smith patent, za który obowiązany był płacić znaczne dożywocie. Pan Kennedy opuścił Moonagh jak tylko zakończyło się śledztwo—podobno pojechał do Ameryki. Pan Dermot którego śmiały i pełen oburzenia protest przeciw nędznemu oskarżeniu, wywołał powszechną sympatyję, bawi jeszcze w Moonagh.“

— I nie spostrzegłam tego—myślała Blanka, mnąc gazetę w ręku — i rozdałam dziś pięć takich numerów!

Tak, wykopałaś dół i wpadłaś w niego, Blanko Cains. Zniesławiłaś męża i pomogłaś do oczyszczenia sławy twego nieprzyjaciela. Do czego nie mogło doprowadzić Kennedego uczucie sprawiedliwości i szlachetności, do tego doprowadziła twoja ślepa nienawiść względem Dermota. Teraz wiadomo światu, przynajmniéj światu w Saint-Vincent, że na dwóch spadło podejrzenie o zabójstwo Smitha, i że cięższe spadało na człowieka, którego nazwisko ty nosisz. Czy przypadek czy występek położył koniec życiu Smitha w domu Dermota, zawsze to pewna, że nie Dermot główny zysk osięgnął z téj śmierci.

— O, gdybym była wiedziała o tem dożywociu — myślała Blanka Cains w uniesieniu rozpaczy—gdyby Sybilla, lub Kennedy powiedzieli mi! Dla czego Reginald nie wywiedział się o tem? Dla czego oszukał mnie połową historyi, kiedy musiał wiedzieć o całéj? Pewno nie pojechał do Moonagh, jak go prosiłam o to, ale posłał jakiego niegodziwca, który nas zdradził.

Ukryła twarz w ręce, nie żeby płakać bo Blanka Cains, nie była skłonną do płaczu, ale żeby zebrać myśli.

Próżne usiłowanie, żadna myśl nie przychodziła do głowy—był tam tylko chaos rozpaczliwy, nad którym żadna zbawcza gwiazda niebłyszczała. O, jak łatwo runąć w przepaść, jak szybko pada się w ów świat rozpaczy, które tylko blade widma zaludniają. A jak ciężko, jak niepodobna wrócić w górę do świata słonecznego pod niebo, na zieloną ziemię! Napróżno ta kobieta buntowała się przeciw swemu losowi, napróżno walczyć z nim chciała; słowa jej męża brzmiały jej w uszach jak przepowiednia przyszłości: „Zgubiłaś mnie, ale zgubiłaś i siebie.”

I nie było na to rady; ona to sama zrobiła. Uniewinniła nieprzyjaciela, a potępiła męża. I musi mieszkać w Saint-Vincent, a Dermot i Sybilla pozostaną tutaj! Spoglądała w około ponurym wzrokiem. Otaczało ją niebieskie jedwabne obicie, na którym igrały białe kupidynki, wypuszczając strzałki z poza wieńców róż á la Pompadour. Patrzyła na kosztowny dywan, koronkowe firanki, pyszne meble i radaby je była spalić. Sprzedała się dla marnego przepychu, a raczej obłudnik oszukał ją, udając—bogatego podczas gdy był ubogim, powszechnie szanowanego, podczas gdy był zniesławionym!

Pan Kennedy nigdy niebył wielomownym człowiekiem, ani trudnym do postanowienia.

---

popularne wiadomości z różnych gałęzi nauk przyrodzonych, notując przy tem najnowsze odkrycia i wynalaski przemysłowe w Zachodniej Europie i w Ameryce dokonane.

Z takiego charakteru *Przyrody* i *Przemysłu* wypływa wielka rozmaitość artykułów w piśmie tém umieszczanych; z jednej bowiem strony potrzeba wskazywać ogółowi na znaczenie nauk przyrodzonych dla oświaty *(Nauka i utylitarność, Wpływ nauk przyrodzonych na ludzkość i t. p.)*, z drugiej strony zaznajamiać publiczność z elementarnemi pojęciami każdéj nauki *(Historyczny rozwój poglądów na budowę wszechświata, Różnica między roślinami i zwierzętami, O chemicznej budowie ciał i t. p.)* i objaśniać najprostsze zjawiska w życiu codziennem napotykane *(Nauki przyrodzone i kuchnia, Głód, Pragnienie, Złudzenia wzroku i t. p.)*, niezapominając i o praktycznej doniosłości wspomnionych nauk *(Mleko i sposoby jego fałszowania, Kopjowanie rysunków za pomocą fotografii i t. p.)* Dodać jeszcze wypada na pochwałę Redakcyi, że podniosła publicznie kwestyją tworzenia wyrazów naukowych, wzywając ogół do dyskussyi nad tym przedmiotem, — że podaje obszerne rozbiory dzieł specyjalnych *(Historyja roślin Jakóba Wagi)*, a wreszcie, że powzięła zamiar wydawania Biblijoteki nauk przyrodzonych.

Nie widzimy potrzeby zalecać naszym czytelnikom pisma, które o ile nam wiadomo, cieszy się uznaniem i które niewątpliwie coraz większe usługi oddawać będzie ogółowi, szczególniej wówczas, gdy rozszerzywszy w dotychczasowym programie miejsce dla treściwych definicyj każdéj z nauk przyrodzonych, uwzględni w nich: zasady klasyfikacyi i metody naukowe, jak tego mieliśmy już próbę w artykule: *Ogólny pogląd na obecne stanowisko fizyki.*

* * *

Czasopisma nasze przepełnione są skargami na drogość mieszkań i brak takowych. Oskarżają kapitalistów, że przez niedającą się wytłomaczyć apatyją i niezrozumienie własnego interesu nie chcą zwrócić swych zasobów na budowę nowych domów, przyczem objawia się niekiedy nadzieja, że mające powstać towarzystwo budowlane, złe zażegna, da nam mieszkania wygodne i tanie, a akcyjonaryjuszom sowite przyniesie zyski. Zdania te i skargi nie zdają nam się być zupełnie uzasadnionemi. Kapitaliści gdyby widzieli w budowie domów dobry finansowy interes nieomieszkaliby wprowadzić go w życie, a jeśli nie biorą się do budowy, to przyczyną tego jest ogólna opinija w kołach finansowych i technicznych, że przy dzisiejszych cenach materyjałów, kapitał włożony w stawianie budowli nie może procentować dostatecznie.

Czy opinija ta jest słuszną?—czy przyczynami wygórowanych kosztów budowli nie jest, złe zużycie miejsca,—nie ekonomiczne stosowanie materyjałów, lub inne dające się usunąć powody? tego z góry rozstrzygać niepodobna.

Jedynym środkiem, mogącym rozjaśnić tyle ważną dla nas i dla przyszłego rozrostu miasta, kwestyją mieszkań, byłoby zdaniem naszem, wezwanie za pomocą konkursu wszystkich techników, do podania planów na ekonomiczne domy mieszkalne, godzące w sobie konieczne warunki wygody i higieny, z możliwą oszczędnością—z uwzględnieniem warunków miejscowych, wraz z najdokładniejszemi obrachowaniami technicznemi i kosztorysami, opartemi, na cenach rzeczywiście praktykujących się w mieście naszem. Mniemamy, że konkursy takie, dałyby nam wzorowe plany domów, właściwych naszym stosunkom, i wolne od praktykujących się błędów technicznych. Oparci na nich, będziemy mogli osądzić czy dzisiejsze ceny mieszkań są wygórowane lub nie? czy wznoszenie nowych domów mieszkalnych daje kapitalistom korzystną lokacyją ich wartości, lub przeciwnie? Bez stworzenia zaś za pomocą konkursu (albo wreszcie innym sposobem) typu

Teraz myślał tylko o tem żeby o ile można naprawić złe jakie żona jego wyrządziła.

Poszedł do stajni, sam osiodłał konia i pojechał do Saint-Vincent, nie mówiąc nikomu ani słowa. Naraz zaczął objawiać swoje zdziwienie i robić jakieś uwagi, ale Kennedy zdawało się nie słyszał go wcale.

Pani Ronald była w domu i otrzymawszy bilet wizytowy pana Kennedy, kazała go natychmiast poprosić. Wyszła do niego do salonu z dziennikiem *Moonagh Herald* w ręku. Zrobiła to naumyślnie, co widząc Kennedy stracił słabą nadzieję zyskania jej na swoją stronę. Ale niechciał ustąpić bez walki, usiłując więc uśmiechnąć się, rzekł:

— Niepotrzebuję powiadać szanownej pani co mnie tu sprowadza. Dowiedziałem się teraz dopiero, że ta nieszczęsna gazeta jest w twoim ręku i ciężko mi nawet kilka minut zostawać pod ciężarem złego mniemania pani.

— Nigdy w życiu niedoznałam podobnego zadziwienia!, poważnie rzekła pani Ronald. Znalazłam to w mojej karecie i niesłychanie się zdziwiłam, panie Kennedy.

— To okrutna, szkaradna potwarz, rzekł żwawo, która zwolniwszy mego przyjaciela i wspólnika, pana Dermot, rzuciła się na mnie, a wydawca *Moonagh Herald* ledwie że uniknął wyroku o oszczerstwo.

— Niesłychanie się zdziwiłam, mówiła dalej pani Ronald chłodnym tonem; mówiłeś mi pan tak stanowczo, że oskarżenie rzucone na pana Dermota, zupełnie było bezzasadne, a tymczasem widzę żeś mnie zwodził, panie Kennedy; bo rzeczywiście nie mogę powiedzieć, że byłeś tylko w błędzie.

— Kochana pani, daruj mi, że cię łudziłem, ale było to tajemnicą, której wyjawić nie miałem prawa.

— Tajemnica gazecierska?

— Niebyłoby to też nigdy wiadomem, gdyby Dermot i ja nieszczęściem nie ściągnęli na siebie nienawiści nieprzyjaciela.

— Wcześniej czy później stałoby się to wiadome, i gdybym była panem, samabym to rozpowiedziała, zamiast się ukrywać.

Kennedy zamilkł na chwilę. Niewiedział dobrze czy czytała ustęp, który jego dotyczył. Ale nie potrzebował pytać; pani Ronald odrazu objaśniła go co do tej wątpliwości.

— Zresztą niewydaje mi się to szlachetnem względem pana Dermota, żeś na nim jednym dozwalał ciążyć podejrzeniu, które, jak się zdaje, obu panów dotyczyło. Zaiste dziwna to historyja. O ile zrozumiałam, pan Dermot nie miał żadnego interesu w śmierci Smitha i nigdy nie powinien był być podejrzywany.

Kennedy spojrzał na nią bystro:

— Chcesz pani powiedzieć, że mnie podejrzywać należało?

— Nie objawiam żadnego zdania; ale jeżeli mam panu prawdę powiedzieć to raczej ty niż pan Dermot powinieneś opuścić Saint-Vincent.

— On też nie wyjeżdża, posępnie odpowiedział. Kennedy, zostaje przy opactwie i młynie, które do niego należą.

Pani Ronald zaczerwieniła się z gniewu; przed godziną zaledwie, powiedział jej Kennedy, że Dermot wyjeżdża, aż tu dowiaduje się teraz iż nietylko pozostaje, ale że nawet ona, pani Ronald była w domu zniesławionego człowieka i ubliżyła mu w jego własnym salonie.

— Panie Kennedy, rzekła surowo. Wstrzymuję się od wszelkich kommentarzy nad takiem postępowaniem. Niedługo zapewne dowiem się jeszcze, iż pan Dermot, żeni się z twoją córką.

Kennedy milczał przez chwilę. Potem rzekł cichym głosem:

— Pobrali się tajemnie przed niedawnym czasem.

— Więc, z oburzeniem krzyknęła pani Ronald, niegodziwie postępowałeś pan ze swoim przyjacielem i zięciem. Musi być bardzo szlachetnym człowiem kiedy zniósł to wszystko i wyraźnie panu powiadam, że jeżeli mi zdarzy się mówić o tem, uważać będę za powinność wykazywać wszystkim prawdziwy stan rzeczy.

— Jakąż korzyść jemu przyniesie to, że pani mnie krzywdzić będziesz? Nigdym nie myślał o rzucaniu skazy na niego, ale gdy potwarz jego na cel wzięta, zgodziliśmy się na to obadwa, iż nie należy rozjaśniać szczegółów. Dermot i ja byliśmy stałymi przyjaciołmi od lat wielu i nawzajem jesteśmy sobie dużo obowiązani.

— Pan Dermot postąpił sobie prawdziwie szlachetnie, rzekła pani Ronald z emfazą.

Kennedy gorzko się uśmiechnął.

— Tak, rzekł, ale złe zawsze się stało. I ja jestem tak jak on niewinnie spotwarzony. Bóg mi świadkiem. Dla czegóż więc i mnie niemiałabyś pani bronić?

Pani Ronald zawahała się.

— Zbyt wiele żądasz panie Kennedy. Ludzie liczą na to, że wiem dokładnie o wszystkiem, co dotyczy charakteru moich przyjaciół. Gdy mi o téj historyi wspomną nie mogę grać roli nieświadomej.

— Nieświadomość pani najlepszym byłaby dowodem, że to potwarz, odpowiedział śmiało. Ktożby przypuścił, że to prawda kiedy pani o tem nie masz wiadomości?

— Zbyt dużo wymagasz pan odemnie, powtórzyła, tym razem z pewnym naciskiem. Położenie moje w świecie wkłada na mnie pewną odpowiedzialność. Nie mogę zwodzić osób, które czynią mi tu zaszczyt, że się kierują moim poglądem.

Umilkła.—Kennedy patrzył na nią jeszcze w oczekiwaniu. Pani Ronald tonem protektorskim znowu zaczęła:

— Jeżeli chcesz pan mojej rady...

Kennedy pospieszył z upewnieniem, że niezmiernie ceni jej rady; uśmiechnęła się i rzekła:

— Mojem zdaniem, najlepiej będzie gdy pan opuścisz Saint Vincent na czas jakiś. Skończy się na tem, że ludzie zapomną o tej nieszczęśliwej historyi. Tylko trzeba żebyś pan był ostrożny i badał grunt pod nogami, gdy wrócisz. Świat nie jest bardzo pobłażający, panie Kennedy.

Któż lepiej wiedział o tem jak ów nieszczęśliwy człowiek, korzący się przed samowładczynią w Saint Vincent? Jakkolwiek niewielka była to dlań pomoc, spojrzał wdzięcznie i rzekł z wesołym uśmiechem:

— Składam mój los w ręce pani i pewny jestem, iż jeżeli nie będziesz zmuszona, nie powtórzysz potwarczych słów tej nędznej klamliwej gazety.

Zrobię co będę mogła, panie Kennedy, ale dla dobra pana przypuszczam, że tylko ten numer się tu znalazł.

Krople potu wystąpiły na czoło Kennedego. Starał się uśmiechnąć.

— Podobno nie, rzekł, zdaje się, że jeszcze cztery numery rozdano dziś popołudniu; tylko spodziewam się, że wpływ pani...

Pani Ronald zerwała się z oburzeniem.

— Jeszcze cztery numery! czemu nie tuzin? I pan przychodzisz z żądaniem żebym się kompromitowała dla niego? Umywam

---

domów mieszkalnych dla m. Warszawy, z dokładnem obliczeniem kosztów budowy i możebnego dochodu, tworzenie towarzystwa budowlanego, uważalibyśmy za przedwczesne i mało przezorne.

Czy nie właściwiej byłoby, aby Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych zwróciło ogłoszone przez siebie konkursy w tyle żywotniejszym dla nas kierunku, zamiast obdarzać nas projektami jakiegoś gmachu mieszczącego salę koncertową i piwiarnię, strzelnicę i teatry? Pytania tego rozstrzygać nie chcemy.

* * *

Drugi tom krakowskiego pisma „Na Dziś“ został nareszcie i u nas puszczony w obieg. Obszerniejszą o nim wzmiankę podamy w jednym z następnych numerów.

* *

Jeden z młodych znanych na polu naukowem fizyków zamierza starać się u właściwej władzy o pozwolenie otworzenia w Warszawie pracowni fizycznéj. Nie wiemy dokładnie jaki będzie zakres działalności projektowanego zakładu, nie dotykając przecież innych działów, z naszego stanowiska głosowalibyśmy za wprowadzeniem pewnej nowacyi mającéj doniosłość pedagogiczną. Wiadomo z jakiemi trudnościami połączony jest wykład fizyki przy prywatném nauczaniu tego przedmiotu, a to dla braku odpowiedniéj doświadczalni. Otóż, czyby nie było rzeczą praktyczną, aby w podobnym zakładzie zaopatrzonym w narzędzia fizyczne znajdowała się oddzielna sala przeznaczona wyłącznie na użytek dydaktyczny. Do sali tej, za pewną opłatą mieliby w umówionych godzinach wstęp nauczyciele ze swemi uczniami lub uczennicami, a to celem objaśnienia zjawisk i praw naukowych poprzednio teoretycznie wyłożonych. Narzędzia prostszéj budowy mogłyby być wypożyczanemi zewnątrz zakładu. Rzucając ten pobieżny projekt, sądzimy że przedewszystkiem młoda generacyja płci pięknéj odniosłaby tym sposobem znakomity pożytek, wiadomo bowiem iż dotąd panienki uczące się fizyki, poprzestają zwykle na suchych definicyjach objaśnianych co najwyżéj nie wiele zrozumiałemi rysunkami.

* * *

Wszystko co potrzeba do wygody i zbytku sprowadzamy z zagranicy—nic za to w zamian z kraju nie wysyłając. Czy spostrzegliśmy nareszcie że taki corocznie obcym opłacany haracz prędzéj czy później doprowadzi nas do ruiny, czy stało się to niechcący, nie wiemy—ale wiemy i z przyjemością zaznaczamy fakta dowodzące, że powoli, powoli zaczynamy się budzić z uśpienia—że nasz ruch przemysłowy zaczyna dawać *ślady życia*.

Za jeden ślad taki przyjemny—uważamy zaczerpniętą z Kuryjera Codziennego wiadomość że pp. Korpaczewski, Bobrowski i Miler zawiązawszy spółkę z dosyć poważnym kapitałem—otwierają w Warszawie i to już w miesiącu Lipcu fabrykę obuwia męskiego i damskiego wraz z magazynem przy ulicy Rymarskiej—której celem—wyrób i wywóz wyrobów do Cesarstwa. Zawiązanie bliższych handlowych stosunków z Cesartswem w ogóle dla nas korzystnie się przedstawia. W ostatnich czasach zachęcał ku temu szczególnie p. Korpaczewski, w swoich korespondencyjach z Petersburga do Gazety Polskiej nadsyłanych. Za dobry więc przykład w praktyce należy się p. K. szczere uznanie. Najtrudniéj pierwsze lody przełamać. Powodzenie spółki którego jak pewni jesteśmy tak i życzymy serdecznie — zachęci do naśladowania—a rozumne naśladowanie dobrego, rzecz wielce pożądana.

* * *

W ostatnim N-rze Tyg. Illustr. autor, Kroniki tygodniowej zwróciwszy uwagę czytelników, na szereg palących kwestyj, oczekujących rozwiązania, zwraca się do jednę

ręce i oświadczam to z żalem, bo mam rzetelny szacunek dla nieszczęśliwej żony pańskiej, ale nasze stosunki muszą odtąd ustać. Nie mogę narażać mojego stanowiska w towarzystwie dla oddania panu wątpliwej usługi, a nawet, powiem panu że niechcę tego.

Pan Kennedy wstał i dumnie się ukłonił. Sprawa jego została odrzuconą; nie było po co dalej upokarzać się przed panią Ronald. Opuścił ją nie mówiąc ani słowa, a pani Ronald jeszcze przejęta oburzeniem udała się do pokoju panny Spencer i zastała ją przy czytaniu *Moonagh Herald*.

— I pani dostałaś jeden egzemplarz tego pisma? zawołała. Ze wszystkich warjatów na świecie największym musi być Kennedy, skoro przychodzi do mnie z żądaniem mięszania się w tę sprawę! Nigdy niezdarzyło mi się słyszeć nic podobnego.

— Co za dziwna historyja! wykrzyknęła Miss Spencer. Sięgnęłam po chustkę do kieszeni w moim paltocie i natrafiłam na coś chłodnego i gładkiego. Formalnie wzdrygnęłam się z przestrachu, a to była ta gazeta zawinięta w arkusz glansowanego papieru.

— Wstrętne to wszystko. Szkoda, że dostałam jeden egzemplarz. Nie żal mi go wcale, tylko ubolewam nad tą biedną panią Kennedy!

— Niezawodnie, że godna jest pożałowania, rzekła Miss Spencer, a możeby ona mogła powiedzieć pani kto włożył *Moonagh Herald* do mojego paltota, bo widziałam ją w przedpokoju gdzie wisiały rzeczy, właśnie w chwili rospoczęcia próby.

— W przedpokoju powiadasz pani?

— Tak, przyszła oglądać okrycie pani Gray. Nigdy nie zdarzyło mi się wiedzieć tak wdzięcznej formy. Całe obszyte koronkami.

— Dziwi mnie lekkomyślność twoja, panno Spencer. Co wspólnego mają koronki z losem biednej pani Kennedy, okropnym prawdziwie.

— Ja tylko myślałam że onaby mogła nam powiedzieć, kto tę gazetę włożył; dziwna rzecz znajdować opieczętowany pakiet w swojej kieszeni. (*D. n.*)

ĆWICZENIA SZKOLNE,

dzieciom do odrabiania w domu zadawane.

(*Dokończenie*).

Wszelkie nasze szkolne zadania, przedstawiają jeszcze jedną złą stronę. Oto, zanadto przykuwają dziecko do stołu i litery, zamało pozostawiają mu sposobności i swobody w działaniu, w wyrabianiu osobistych poglądów na rzeczy, w tworzeniu i badaniu, ścieśniają swobodny stosunek jego z naturą i świeżem powietrzem; a zmuszając do ustawicznego ślęczenia nad naukami, zamieniają je niejako w książkowego mola. Wszystko com tu powiedział, nie jest bynajmniej urojeniem, czczym frazesem—ale rzetelną prawdą. Przed niedawnym czasem, zapytałem pewne dziecko: ile godzin siedzi w szkole? „Od 8-ej do 12-tej a od 2-iej po obiedzie do 5-éj odpowiedziało.—A cóż potem robisz? — Potem do 7-ej mam lekcyją muzyki, następnie jémy kolacyją i idziemy spać. A teraz zapytam, jestże to właściwe postępowanie z dzieckiem, którego ciało pod każdym względem rozwijać się, rosnąć i wzmacniać powinno? Czyż tym sposobem nie pozbawiamy dziecka wszystkiego, co życie miłem mu czyni, co cały powab tego życia stanowi? A gdy w późniejszych latach, wśród walki z przeciwnościami, zabraknie mu energii, siły i odwagi, czy mu ta odrobina wiedzy zastąpi to wszystko? Czy mu wynagrodzi krzywdę w zdrowiu, świeżości i swobodzie umysłu, jakie ponieść musiało, by ją zdobyć?

Dlaczego kobiety dzisiejsze, tak są niewytrzymałe, dlaczego tyle jest chorowitych, znużonych i tak dalece osłabionych, że nie są w stanie zająć się wychowywaniem własnych dzieci? że tak wzniosłe, wielkie i święte obowiązki swoje, rękom płatnym powierzyć muszą? Czyliż szkoły, nauczyciele prywatni, guwernantki lub bony i t. p. nie mają odpowiadać za to, że dziewcze od rana, do późnego wieczora ślęczy nad książką, odbierając im całą swobodę i pozbawiając je wszystkiego, czego wzrost jego wymaga, co jego moc i siłę stanowi?

Dla poparcia słów moich przytoczę tu zdanie starego pedagoga, Jana Jakóba Russo. „Jak nazwać takie wychowanie, mówi on, które z zimną obojętnością, poświęca teraźniejszość, dla niewiadoméj przyszłości, które krępuje dziecko wszelkiemi możebnemi więzami; czyni je w zaraniu życia nieszczęśliwem, aby mu w odległéj przyszłości, jakieś tam wątpliwe zapewnić szczęście, z którego to jedno najpewniejszem jest: iż go nie pozna nigdy!... Przypuśćmy, że podobne wychowanie jest uzasadnione: to jeszcze i wtedy nie można patrzeć bez wstrętu jak te biedne, nieszczęśliwe istoty, ciężkiem jarzmem obowiązku obarczone, na bezustanną skazywane są pracę, jakby owi występni galernicy; niemając żadnéj pewności, że za te wszystkie cierpienia i mozoły, jakąkolwiek odniosą nagrodę, gdy przejdą lata swobody wśród łez, kar, napomnień, pogróżek i niewoli... Czy kto obliczył—ile dzieci padło ofiarą zapamiętałéj mądrości ojca lub nauczyciela? Człowiecze! bądź ludzkim. Oto najpierwszy obowiązek każdego, bez względu na wiek i stan. Otaczaj miłością wiek dziecinny, dbaj o jego przyjemności, popieraj zabawy, ciesz się jego naiwnością i swobodą! Któż z was nie pożałował czasem tych lat, kiedy usta zawsze gotowe do uśmiechu, a dusza tak błogiego używa spoczynku? Dla czego pozbawiać chcecie te niewinne małe istoty, prawdziwéj radości, swobody, która trwa tak krótko, a tak łatwo znika,—tego drogocennego skarbu, którego nie są w stanie nadużyć? Ojcowie! znacież wy chwilę, kiedy śmierć dziecko wasze zaskoczyć może? Nie żalże wam, pozbawiać je swobody kilka chwil, jakie im dała natura? Czemu nie chcecie pozwolić, ażeby wraz ze świadomością życia, używały jego przyjemności? Dla czego mielibyście dopuścić, żeby, gdy kiedykolwiek podoba się Bogu, powołać je do siebie, miały umrzeć niezakosztowawszy nawet roskoszy życia?" „Niech jak kto chce sądzi te wyrazy, niech je nazwie perorą przemądrzałego lub niedowarzonego pedagoga—ja zawsze utrzymywać będę: że dla każdéj szkoły, dla każdéj rodziny, znajdzie się tu zbawienna nauka—a przynajmniéj przestroga, iż nie można bezkarnie obciążać dziecka naukami, mordować ducha i pozbawiać swobody wiekowi właściwéj. Na téj też zasadzie, domagam się, o ile możności jak najwięcéj zadawać ćwiczeń takich, które same przez się, skłaniają dziecko do działalności, badania, wypytywania się, i ruchu bądź na świeżem powietrzu, bądź w mieszkaniu. O takich ćwiczeniach mówi *Stoy* w piśmie swojem: *„Dom rodzicielski i język ojczysty"* a ja-

---

z nich,—do ulicznego żebractwa w mieście naszem, i zastanawia się nad sposobem zaradzenia mu.

Ilość żebraków, oblicza autor na osób tysiąc, i dla tych, chce wynaleść sposób egzystencyi uczciwej.—Nie będziemy dyskutowali, nad dokładnością tego obliczenia, bo choćby w rzeczywistości i znacznie więcej było biednych — zaspokojenie tysiąca ich,—należałoby do czynów znakomitej doniosłości.

Środkiem do usunięcia żebractwa, ma być, założenie domu „przytułku i pracy", w którym pomieszczeni biedni, utrzymywani będą z własnego zarobku i z ofiar publicznych. I tu niechcemy podnosić, jaki byłby prawdopodobny stosunek, obu tych czynników—czyli dobitniej, jakich ofiar dorocznych, wymagałby ów dom schronienia na osób 1000, lecz właściwie chcemy zwrócić uwagę, na obliczenie autora, co do ciężaru jaki przypadłby na mieszkańców, na koszta założenia takiego domu.

Biednych 1000—ludności 260,000—260 więc mieszkańców, ma złożyć się na jednego, kwota prawdopodobnie potrzebna złp. 520, a więc ciężar powstały stąd, złp. 2 na każdego mieszkańca miasta. Przyjmując dochód, jednostki na złp. 4000, ofiara wynosić będzie, jednę dwutysiączną dochodu. Zdaje się to napozór proste i piękne. Któż, dwutysiącznej części, dochodów swych, nie ofiaruje, dla zapewnienia przyszłości tysiąca biednych. Lecz w radosnym entuzyjazmie tym, obliczmy przez ciekawość, jaki jest roczny dochód wszystkich mieszkańców miasta:

260,000 ludności, po 4000 złotych to stanowi tysiąc czterdzieści milionów złotych, lub 156 milionów rubli — ładna cyfra, nie ma co mówić—lecz czy autorowi wiadomo, że cała przemysłowa produkcyja kraju naszego ledwo dosięga połowy tej cyfry—że wartość wszystkich realności naszego miasta, może i niedorówna połowie, owego przypuszczalnego dochodu—że przeciętny dochód, najbogatszych nawet miast w świecie, nie da nam 4000 złotych na jednostkę ludności?

* * *

P. M. Glücksberg zamierza niezadługo rozpocząć wydawnictwo „Biblii" w przekładzie polskim z illustracyjami Gustawa Doré, całe dzieło obejmie 230 rysunków wielkiego formatu, wykonanych podług oryginalnych klisz; publikacyja ta wychodzić będzie zeszytami.

* * *

Dr. Gustaw Roszkowski docent uniwersytetu Jagiellońskiego napisał rozprawę „O przywilejach i ceremonijach w świecie dyplomatycznym. Dr. *Henryk Schmitt* wydał szkic biograficzno-krytyczny p. t. Ksiądz Kołłątaj Dr. Prof. *Józef Szujski* objaśnił i przygotował do druku „Tzzy dyjaryjusze sejmowe z r. 1548, 1553 i 1570" wydane przez komisyją historyczną Tow. Nauk. w Krakowie. *Władysław hr. Tarnowski* spolszczył z przekładu Herdera „Cyda" według romancero hiszpańskiego. Pracę tę pomieszcza podobno Lwowski „Świt." P. *Zakrzewski* napisał rozprawę p. t. „Stosunki stolicy Apostolskiéj z Iwanem Groźnym Carem i W. księciem moskiéwskim." P. *Stanisław Łubieński* przełożywszy z języka francuskiego, dzieło Jerzego Wille „O nawozach chemicznych wyda je wkrótce własnym nakładem. W Kijowie drukuje się obecnie w litografii Zawadzkiego, dzieło treści naukowéj przez *Franciszka Olechnowicza.* W krótce także pójdzie pod prasę „Odgłos w Polesiu" zbiorek prac *Ejsmonta.*

* * *

W krótce przedstawioną będzie na scenie Lwowskiéj jednoaktowa komedyja ze śpiewami p. *Wł. Bełzy* p. t. „Słowiczek," zaś p. *Karol Pieńkowski* przetłomaczył dla tejże sceny pięcioaktową komedyją Moliére'a p. t. „Don Juan" — i zajmuje się układem na scenę „Wojny" Erckman-Chatriana.

---

pragnę przytoczyć tu z nich kilka, aby potwierdziły moje uwagi. „Weź w porze letniéj pewną ilość wody przegotowanéj, podziel ją na trzy części i następującą zrób próbę: a) W léj jedną część wody na małą miseczkę i ustaw ją tak, żeby promienie słońca przy przewiewie powietrza, z góry na nią padały, b) drugą część wlej we flaszeczkę z wąską szyjką, ale jéj nie zatykaj; c) trzecią również wlej we flaszeczkę i zakorkuj ją szczelnie. Ustaw wszystkie obok siebie — patrz i uważaj dobrze, co spostrzeżesz — a potem mnie to wszystko opiszesz. Albo znów: Zbieraj nasiona z wierzby, wiązu, olchy, brzozy, dębu, klonu, sosny, posyp każdego osobno potrosze na papierki połóż na powietrzu i uważaj, które wiatr pierw uniesie. Zgromadź kilka poczwarek wołków, włóż je do flaszki, w której jest trocha mąki lub ziarna zbożowego i uważaj! Przypatruj się lotowi ptaków i t. p. Tego rodzaju ćwiczenia zadawane w szkole, o wiele korzystniejsze są od innych. Raz, że dają dziecku sposobność, ciało wzmacniać na wolnem powietrzu; daléj nadają umysłowi pewien ruch samodzielny i swobodny, a na koniec, pozwalają mu, łatwym i przyjemnym sposobem, nabywać mnóstwo wiadomości i wprawiać się w gładkie i rozsądne wysłowienie. Wprawdzie przyznać musimy, że takie zadania, tylko w klasach nielicznych zastosować się dadzą; póki szkoły nasze liczyć będą po 60 lub 70 uczniów w klasie, póty tego rodzaju ćwiczenia, miłem tylko życzeniem pozostaną, gdyż i czasuby nie wystarczyło, żeby tylu uczniów w taki sposób zatrudnić. Jeżeli nas pamięć nie myli, to podobne zadania i w taki sam sposób przeprowadzane już były dawniéj w szkołach o nie zbyt licznych klasach. Co się tyczy domowych prac przez szkoły nasze wyznacaznych, to już są one dzisiaj systematyczniej i porządniej obmyślane. Dbają też daleko więcéj niż dawniéj, o rozwój sił żywotnych. To jeszcze pozostaje do życzenia, ażeby w wypracowaniach starano się więcéj ćwiczyć myślenie, wyrabiać pewniejszy i zdrowszy pogląd na przyszłe obowiązki, obudzać samodzielność i energiję. Żyjemy w czasach książkowéj uczoności. Ale prawdziwa mądrość nie wiele postępuje. A im bardziéj młodzież pyłem książkowym zasypywać będziemy, tym prędzéj pozbawimy ją samodzielności, tak niezbędnéj w pożyciu. Hartu duszy, siły woli—syllabizowaniem nie wyrobimy. Dobrze więc, gdy przynajmniéj świeżość ciała i polot ducha wzmocnić zdołamy.

LISTY Z KRAKOWA.

I.

19 czerwca.

Żądacie odemnie listów z Krakowa. Trudne to zadanie. Teraźniejszy „Opiekun” zanadto poważny, ażeby go zbyć było można zwykłą blagą korrespondentów. Do Opiekuna nie można prawić o samym teatrze tylko, lub o restauracyi Sukiennic, dodając w końcu wzmiankę o składkach na oświatę ludu i kilku jeszcze przedmiotach, od półroku już obrabianych przez tutejszych korrespondentów na wszystkie sposoby. Nieoskarżamy bynajmniej korrespondentów z Krakowa. Pisać trzeba a nowin niema. W naszym starym grodzie wszystko tak stare, spruchniałe od idei i pojęć do gmachów i świątyń. Przytem korrespondenci, są to najczęściej literaci z profesyi, nienależący do żadnego z tych stowarzyszeń, lub instytucyi, w których skupia się życie i działalność, a wszystko co się dzieje w ścianach tych zakładów okrywa największa tajemnica. „Czas” ogłosi suche sprawozdanie, bo ma własnych agentów we wszystkich korporacyjach, urzędach i towarzystwach, a ogłosi poważnie ze stanowiska konserwatywnego, najstaranniej omijając to wszystko, co pod jakimkolwiek względem niezgadza się z tradycyją, kościelną lub arystokratyczną, co może wyjaśnić pobudki, nie raz intrygi lub pokątne zabiegi, które spowodowały tę lub ową uchwałę rady miejskiej, senatu akademickiego, rady szkolnej, towarzystwa akademickiego, towarzystwa naukowego, towarzystwa sztuk pięknych, komisyi wystawowej i t. d. Gdyby nie było złodziejów i pijaków, o których „Czas” skrzętnie zbiera wiadomości, czytając te gazetę p. Manna możnaby pomyśleć, że żyjemy w kraju błogosławionym, nad którym czuwa Opatrzność.

Ale oprócz „Czasu” mamy tu i drugie codzienne pismo „Kraj,” dla którego dość jest ażeby „Czas” co pochwalił, a niezawodnie to właśnie potępi. „Kraj” zrodziła rzeczywista potrzeba. W państwie konstytucyjnym muszą być partyje, ludzie najrozmaitszych barw i odcieni. Jeżeli „Czas” służy ultramontanom, a trzeba mu oddać sprawiedliwość, że służy gorliwie, nawet umiejętnie (niemówimy sumiennie, bo sumienie ultramontanów dwalice), toć są przecie ludzie innych przekonań, których poglądy i wyroki „Czasu” zadowolnić nie mogą. A więc potrzebny jest organ niezależny, któryby niesłużył żadnej koteryi, śmiało wypowiadał prawdę bezwzględną i był sumiennym wyobrazicielem potrzeb i interesów kraju. Takiego właśnie organu życzył sobie ks. Sapieha i założył „Kraj.” Gdy jednak Redakcyja przeszła w ręce D-ra Gumplowicza, któremu ks. Sapieha oddał tę gazetę na własność, raczej darował z grubym dodatkiem, byleby tylko nieponosić kosztów znacznych na przyszłość,— „Kraj” niezadowalnia już nikogo. P. Gumplowicz, izraelita z pochodzenia, stoi na czele *bezwyznaniowości*. Prawo u nas pozwala być bezwyznaniowym.— Zdawałoby się, że bezwyznaniowi, niechcąc ulegać przepisom i powadze jednego z istniejących kościołów, we własnem przekonaniu, opierając się li na powadze czystego rozumu, zdrowych zasad, a niezłomnej woli, stworzą dla siebie swój własny kościół, który powinienby przynajmniej nieuwłaczać zasadom prawdy, moralności i miłości bliźniego. Zdawałoby się, że aby dojść do tak wysokiego szczebla rozumu i woli, potrzeba wielkiej nauki, pracy i poświęcenia. Inaczej wszakże u nas się dzieje z bezwyznaniowymi. Są to najczęściej ludzie, którzy zasłyszawszy coś o filozofii pozytywnej, pojęli ją po swojemu i bez gruntownej nauki, bez żadnych podstaw moralnych, ogłaszają się bezwyznaniowymi, i sądzą że przez to samo mają już prawo, uważać się za przedstawicieli pozytywizmu, liberalizmu, postępu i t. d.

Niestosujemy tego wszystkiego wyłącznie do „Kraju.” Chcemy tylko powiedzieć, że pismo to hołduje bezwyznaniowości; chciałoby przynajmniej uchodzić za takie, ale i do tego braknie jego współpracownikom odpowiedniego wykształcenia, i niemoże się zdobyć na tyle powagi, ażeby przynajmniej w pewnej warstwie zjednać sobie zaufanie i szacunek. Katolicy gardzą nim; żydzi śmieją się z niego, a bezwyznaniowi radzi by go popierać, ale sami widzą niepraktyczność redakcyi, która niepojmuje ani zadania swojego, ani tez położenia i wymagań obecnej chwili. Dodać tu jeszcze musimy, że i u nas, jak i wszędzie są ludzi bawiący się w popularność. Dla nich rzucić na pastwę dziennikarską najwierniejsze kłamstwo, przeistoczyć fakt, najfaulastyczniej wytłumaczyć prawo—jest niczem, byleby tylko o nich mówino, byleby ludzie wiedzieli, że p. C. albo H. tam powiedział to, tam wniósł taki projekt, tam zagaił taką rzecz, a wszędzie znaleźli się ludzie, którzy te świetne wnioski i przełożenia odrzucili, którzy ich niepoparli. „Kraj” właśnie daje przytułek takim warchołom, bo szuka w tem i dla siebie popularności. Takim to sposobem najdzikszy nieraz sofizmat, albo najwyuzdańsze kłamstwo, oblecі prasę i nikomu nie przyjdzie na myśl, sprawdzić rzeczywistość podanego faktu.

Otóż z takich to źródeł czerpać muszą najczęściej materyjały korrespondenci tutejsi, a najostrożniejsi z nich, sami nieraz w błąd wprowadzeni bywają.

Co do nas, w listach naszych z Krakowa, starać się będziemy podawać tu—te tylko wiadomości, o rzeczywistości których mogliśmy się przekonać, nietrzymając się ani ultramontańskich poglądów „Czasu,” ani też warcholskich wybryków „Kraju.”

Ale przejdźmy już i my do fatów.

Wiecie, że towarzystwo naukowe krakowskie przeistacza się w akademiją umiejętności. Przygotowania do tej ważnej reformy trwają już od roku. Po zatwierdzeniu statutu, ułożonego przez komitet rządzący Towarzystwa, a uchwalonego na walnych zebraniach wszystkich obecnych członków Towarzystwa, 11 i 13 maja odbyły się wybory pierwszych 12 członków czynnych akademii, a mianowicie 8 z połączonych wydziałów nauk moralnych, archeologii i sztuk pięknych, i 4 z wydziału nauk przyrodniczych i lekarskich. Podajemy wam imiona tych pierwszych akademików 1) Dr. Józef *Kremer* profesor filozofii, znakomity estetyk; 2) Dr. Wincenty *Pol*, poeta i geograf, 3) Dr. Józef *Szujski* prof. hist. pols.; 4) Dr. Antoni *Walewski* prof. (emeryt) hist. powszechnej, 5) Dr. Karol *Mecherzyński* prof. (meryt) hist. literatury; 6) Dr. Juljan *Dunajewski* prof. ekonomii politycznej i statystyki; 7) Lucyjan *Siemieński* znakomity estetyk i 8) Dr. Karol *Estreicher* dyrektor biblioteki Uniw. Jagiell. i znany bibljograf—zaś z działu nauk przyrodniczych i lekarskich; 9) Dr. Józef *Majer* dzisiejszy prezes Towarzystwa; 10) Dr. *Teichmann* prof. anatomii; 11) Dr. Fryderyk *Skobel* prof. patologii i 12) Dr. Stefan *Kuczyński* prof. fizyki.

Zdawałoby się, że wyborowi temu nic zarzucić nie można, jakoż zadowolnił on najzupełniej wszystkich gorliwych o dobro akademii. Wybrani są to ludzie oddawna znani z prac swoich, a jeżeli jeden tylko z nich, p. Dunajewski, nic dotąd niepisał, słynny jest jako znakomity profesor, ekonomista i estetyk. Mimo to jednak z powodu tych wyborów niektóre dzienniki znalazły dla siebie obfity przedmiot do szermierki gazeciarskiej. — Wprawdzie trudno było robić zarzuty co do osób, ale powstano na samą zasadę dokonanych woborów, a mianowicie, dla czego wybrano akademików z samego tylko Krakowa, omijając uczonych polaków z innych krajów. Niepowiemy, ażeby krakowiacy niegrzeszyli czasami parafijańszczyzną. W tym jednak wypadku wybory były najlegalniejsze, najściślej zastosowane do statutu, który właśnie nakazywał, ażeby wybór był dokonany z grona miejscowych czynnych członków. Następnie zaś, skoro wybrani akademicy będą potwierdzeni, na nich leży obowiązek utworzenia kompletu zwyczajnych członków akademii, których liczba podług statutu wynosi 42 czynnych i 30 korrespondentów. Nadzwyczajnymi członkami akademii pozostaną tylko ci członkowie czynni Towarzystwa naukowego, którzy niewejdą do składu owych 72 członków zwyczajnych. Otóż przy następnych wyborach, spodziewać się należy, że żaden z głośniejszych i zasłużeńszych pracowników polskich przepomnianym nie będzie. O ile wiemy, już dziś uważani są, jako naturalni kandydaci do akademii, z Warszawy: W. A. Maciejowski, R. Hube, J. Kowalewski, A. Muchliński, Szokalski, Baranowski, Frąckiewicz, Węclewski, Przyborowski, Waga i inni. Ze Lwowa: Supiński, Bielowski. Małecki, H. Schmitt, Pietruszewicz, Żmurko,

Z Poznania: K. Libelt, A. hr. Cieszkowski, J. Łukaszewicz, Wolniewicz, Jerochowski, Wegner. Nadto wymieniają jako kandydatów: I. J. Kraszewskiego, E. hr. Tyszkiewicza, A. F. Adamowicza, Domeykę, Wołowskiego, Cienkowskiego, Nehringa, Hoffmana i t. d. Ostateczne zorganizowanie akademii, po załatwieniu wszystkich przygotowawczych robót, nastąpić może zaledwo w końcu b. roku. *(d. c. n.)*

O WYBORZE POKARMU
dla niemowląt i dzieci.

podał

Stanisław Wojciech Łukowski.

„Ex alimento robur, ex alimento morbus".

Wybór właściwego pokarmu i sposób jego użycia, są to kwestyje pierwszorzędnego znaczenia dla każdego, kto dba o swe zdrowie i siły. Materyje bowiem pożywne, według swych własności i działania na ustrój ludzki, mogą być dlań pożyteczne lub szkodliwe, a niekiedy nawet zgubne; mogą one zapobiegać chorobliwym processom, lub je opóźniać, to znów sprzyjać szybszemu rozwojowi takowych. Tym sposobem, ważną jest rzeczą wiedzieć, co mianowicie i w jakiej ilości należy jeść, jakiego rodzaju pakarm, kiedy, w jakim czasie i jak często wypada go używać? Pytania te, nastręczają się codziennie prawie każdemu, i napozór zdają się łatwe do rozstrzygnięcia, w samej zaś rzeczy, ustanowienie pod tym względem głównych a zarazem dokładnych przepisów, jest dość trudne. Pomimo bowiem wielkiej różnicy we własnościach wielu pokarmów, samo ich działanie jest odmiennem u rozmaitych osób; nie mniej potrzeba co do pokarmu, zależną jest od wielu okoliczności, wieku, ciałoskładu, płci, stanu zdrowia, zajęcia, zwyczajów, miejsca zamieszkania, pory roku i jeograficznego położenia miejscowości. Zresztą przy wyborze pokarmu, trzeba się stosować do stanu żołądka, trawienia, żywienia i przyswajania danego ustroju, co naturalnie powiększa znacznie trudności, w zadawalniającem rozstrzygnięciu pomienionej kwestyi, wymagając całego obszaru wiadomości z nauk przyrodzonych i medycyny. Jeśli zaś zważymy, że umiejętności te, w dzisiejszym stanie, nie doszły jeszcze do kresu doskonałości i w wielu punktach rezultaty ich nie mają cechy stanowczych pewników, nic więc dziwnego, że i sama nauka dyjetetyki, musi co do swych przepisów, być nieraz zbyt drobiazgową i chwiejną. Rzadko też w życiu praktycznem, stosujemy się do prawideł podanych przez hygienistów co do pokarmów, po większej części każdy je i pije, co zechce i ile zechce, kierując się raczej pod tym względem popędami instynktu, niż wywodami rozumu.

Lecz mimo to, są ludzie dla których i takie przyrodzone wskazówki są ograniczone, jednem słowem znajdują się istoty tyle jeszcze upośledzone, iż nie mogą sobie wybierać swobodnie pokarmu, i o których staranie powinny mieć inne osoby, jeśli pragną, aby zdrowie ich, siły i rozwój fizyczny, nie doznały żadnego uszczerbku, dla braku, lub niewłaściwości pożywienia. Istoty te, wymagające naszej opieki i troskliwości, są to niemowlęta i dzieci. Zaznajomić rodziców i opiekunów z racyjonalnemi przepisami ich żywienia, jest celem niniejszego artykułu.

Djetetyka powinna tutaj jak i wszędzie wyprowadzić swe prawidła z fizjologicznych danych i różnego stopnia rozwoju ludzkiego ciała.

Dla ustroju dziecięcia i dopóki ono jeszcze rośnie, niezbędna jest stosunkowo znaczna ilość materyj pożywnych nie tylko dla tego, że organy w tym wieku najbardziej się rozwijają i więcej lub mniej rozszerzają swą objętość [1]) przez co potrzebują odpowiedniego odżywiania, lecz szczególniej dla tego, że oddychanie i rozwój ciepła, wzrastają w stosunku powiększenia naznaczonych do tego celu organów i wzmagających się potrzeb. W późniejszem dzieciństwie, większa działalność mięśni i bezustanne ruchy, wymagają także przyjęcia bardzo dużej ilości pożywnych istot. Lecz ponieważ przez wyziewanie i inne drogi, traci się przy tem wielka ilość płynnych składowych części, to dziecię, widocznie, potrzebuje stosunkowo daleko większej ilości płynnych istot, niż osoba dorosła, nie biorąc już na uwagę tego, że jak według ogólnego składu, tak i co do stanu narzędzi żucia i trawienia, najwygodniejsze dla dziecięcia są płynne istoty pożywne. Nie ulega żadnemu powątpiewaniu, że niezależnie od powietrza, temperatury i klimatu, sposób używania pokarmu ma bardzo ważne znaczenie przy fizycznym i umysłowym rozwoju człowieka; z tego można pojąć ważność dobrego wyboru odnawiających materyj, w wieku dziecinnym. Z drugiej strony, aby pokarm odpowiadał wszelkim wymaganiom, należy starać się o umiarkowanie zbyt szybkiego rośnięcia, każdego przedwczesnego rozwoju w tym lub innym kierunku; już Bakon powiedział, że człowiek wogóle tem dłużej żyje, im spokojniejszym i więcej stopniowym był jego rozwój.

Lecz kiedy wzrost jest skończony i ustrój z następieniem dojrzałości przychodzi do stanu stosunkowej równowagi, wtedy codzienne przyjęcie pokarmu, powinno odpowiadać codziennym ubytkom materyj, i wogóle, w należyty sposób wynagradzać całą stratę przy fizycznej i umysłowej działalności.

Dla noworodka, mleko matki stanowi najnaturalniejszy i pod każdym względem najlepszy i najzdrowszy pokarm. Dla matki zaś, żywienie niemowlęcia odpowiada zupełnie szczególnemu jej położeniu w peryjodzie połogowym, a zarazem pomaga do utrzymania jej zdrowia, zwłaszcza po połogu. Nie jedno niemowlę cierpi, pozbawione mleka z piersi matczynej [2]), lecz i matka może narazić się na rozmaite choroby, jeśli nie zechce sama karmić dziecięcia. Nie powinny więc matki usuwać się od tego obowiąsku z błędnych i często nawet nierosądnych przyczyn np. z powodu delikatności lub przyzwoitosci rówie jak dla zachowania piękności i t. d. wiele chorób, nie przeszkadza także karmieniu niemowląt.

Lecz niekiedy matka nie może żadnym sposobem karmić, np. przy zbyt słabym ciałoskładzie, przy mocnej drażliwości układu nerwowego lub innych chorobach, przy nieprawidłowym rozwoju brodawek piersiowych, oraz jeśli mleko jej posiada złe przymioty, lub wydziela się w zbyt małej ilości, czy też wcale nie wydziela się. Również powinna matka przerwać karmienie przy rozwoju nowej ciąży, chociaż to zdarza się bardzo rzadko. Dla dobra niemowlęcia, należy przestać je karmić przez matkę, jeśli ona cierpi na złośliwe choroby, jak: suchoty, rak, syfilis; wielu nawet zabrania karmienia piersią przy uporczywych chorobach skórnych, jak liszaje i świerzb, oraz przy padaczce i t. p. nerwowych cierpieniach; wreszcie, zawsze i wszędzie przy ciężkich chorobach, zwłaszcza, jeśli te wymagają środków silnie działających i trujących istot lekarskich, od których mleko może nabrać własności, szkodliwych dla dziecięcia.

W takich wypadkach, równie jeśli matka sama nie chce karmić, najwygodniej jest nająć mamkę. Przy wyborze ostatniej, należy zwracać uwagę po części na stan jej zdrowia, na jej moralność i charakter, w szczególności zaś, na przymioty jej mleka i stan piersi. Najprzód należy przekonać się, że ona nie cierpi żadnej udzielającej się niebezpiecznej, lub przynajmniej odrażającej choroby, jakiemi są: syfilis, suchoty, skrofuły, rak, świerzb, parchy i nie jest dotknięta owadami pasożytnemi [1]). Potrzeba zbadać jej ciałoskład i powierzchowność, kolor twarzy, zęby, włosy, a nawet powietrze wydychane. Mamka powinna być zupełnie zdrowa, mocnej budowy i schludna na ciele [2]); oddająca się pijaństwu, lub zbyt otyła, jest niezdatna na mamkę; lepszą jest nieco chuda kobieta, gdyż u niej mleko lepsze i obfitsze. Dla tejże przyczyny, brunetki mają większe wzięcie od blondynek. Przytem, nie powinna być ani zbyt młoda, ani stara, najlepiej około 20 — 35 lat, lub w jednym wieku z matką; ma być wesoła, lecz nie zbyt namiętna, dobroduszna, spokojna, lecz nie głupia lub napółidjotka, również nie jąkająca się. Kobiety zamężne, lepsze są od niezamężnych, zwłaszcza kiedy ostatnie już kilka razy rodziły. *(D. c. n.)*

ZAPISKI
z podróży po Europie,

PRZEZ

J. Gordona.

(Ciąg dalszy).

IV.

Przed pomnikiem Goethego.

Któż to na piedestale stoi z odkrytą głową w długim surducie, na głównym placu we Frankfurcie? Pod stopami jego skreślone rylcem sceny z Fausta, a postać alegoryczna Mefistofelesa, czyni im honory. Istoty nadprzyrodzone odgrywają swe role w łączności z ludźmi.

To w olbrzymich rozmiarach Goethe, mistrz nowéj romantyczno-metafizycznéj szkoły poetów, długo wyklinanéj przez klasyków, wraz z bronzowym wizerunkiem swego arcydzieła.

Postacie owego niemieckiego twórcy, będącego uosobieniem dziejów życia duchowego: wyrzutów sumienia, namiętności, rospaczy, i t. d. są rzeczywiście nowemi, jako wprowadzone do tragedyi nietyle dla gry scenicznéj (jak to np. uczynił Szekspir z cieniem Hamleta), ile dla obudzenia i rozwoju myśli filozoficznéj.

Goethe pierwszy nie opierał utworów swoich na średniowiecznéj wierze, tak charakteryzującéj dawniejsze poematy, ale na sceptycyzmie, stanowiącym epokę przechodową, *Mickiewicz* przyjął tę szkołę. „Dziady" z improwizacyją Konrada, pomimo przymieszki katolicyzmu, są najlepszym tego dowodem.

---

[1]) Dziecię *np.* w ciągu pierwszych 2—4 lat powinno dosięgnąć przynajmniej połowy wielkości i wagi osoby dorosłej. Dla tego wypijają one często 4 — 6 funtów mleka w ciągu jednej doby (Hervieux).

[2]) U dzieci karmionych sztucznie, bardzo często rozwijają się: biegunka, skrofuły, choroba angielska, kurcze, wyniszczenie i t. d.

[1]) Z drugiej strony, wzgląd na mamkę wymaga, aby i dziecię nie było dotknięte chorobą syfilityczną jak to często się zdarza *np.* w rodzinach osób zamożnych. Lecz gdy i w tym razie, dziecię nie może być pozbawione pokarmu, należy więc uprzednio wycisnąć mleko z piersi mamki, w szklankę lub inne naczynie, lub dawać dziecięciu ssać pierś za pomocą odpowiedniego lewarka i t. p.

[2]) W Prusach postanowienie z d. 5 Sierpnia 1852 r. nakazuje dostawcom mamek, aby poddawali ostatnie, rewizyi lekarskiej.

Lecz wieszcz nasz posunął trochę ową szkołę naprzód i dla tego—wykluczając jego towianizm i takich bohaterów jak pijany Wallenrod ze starą romantyczką Aldoną—z dzisiejszego punktu zapatrywania się na przedmiot, jest wyższym od Goethego.

Goethe nie wprowadza wprawdzie do swego Fausta żadnych istot sakramentalnych, z suchemi morałami w ustach, lecz upoetyzowanych liryzmem i dowcipem djabłów, z całą potęgą ich czarów.

Na widok okrutnego szatana, urągającego się z Boga, druzgocącego człowieka obuchem przemocy piekielnéj, mimowolnie dreszcz cię porywa, ale śmiejesz się także, skoro poniżać on zacznie zbyt wyuzdaną pychę, i znowu płaczesz, gdy nędze natury ludzkiéj wzbudzają w twem sercu bolesne politowanie.

Z tem wszystkiem Goethe jest fatalistą; uważa on człowieka za igraszkę jego własnych namiętności, za samolubną ofiarę dumy i nic więcéj. Dzisiejszy fatalizm Darwinowski jest kreacyją jego geniuszu.

Dla tego,—niech co chcą mowią i piszą niemieccy krytycy — Goethe patrzący na świat z wysokości swego piedestału, z całym swoim doktorem Faustem i samobójcą Wertherem, przejdzie do późnéj potomności jako wielki artysta-literat raczéj, niż jako wieszcz-poeta; bo on czuł głową a nie sercem. Cokolwiek bądź, pisma jego niezaprzeczenie ważną odgrywają rolę w ogólnéj pracowni odrodzenia ludzkości.

W Mickiewiczu przeważa myśl wznioślejsza. Wprawdzie djabli naszego wiekopomnego Adama, odnoszą chwilowo zwycięstwo; atoli w walce z ludźmi, oczyszczonymi w dziedzinie ducha, siła ich zostaje skruszoną.

Daremny bunt szatana przeciwko zasadzie zasad—Bogu przedwiecznemu!..

Wrzawa kilkunastu ludzi około posągu Goethego, przerwała myśli moje. Obejrzawszy się spostrzegłem gromadę Prusaków w spiczastych hełmach, przebiegających zbrojno i z butną miną ulice spokojnego miasta.

Winienem tu bowiem nadmienić, iż będąc ostatni raz we Frankfurcie w r. 1866, stałem się mimowolnie biernym świadkiem wypadków, które mię tam zaskoczyły.

Ponieważ wspomnienie naocznego postrzegacza o niektórych zdarzeniach, podczas zajęcia wolnego miasta przez Prusaków, zainteresować może niejednego, przytoczę tu je pobieżnie.

W r. 1866, dnia 16 lipca, gdy Frankfurt zamienił się pod strachem oręża pruskiego na główną kwaterę dowodzącego armią, generała barona Falkenstejna, ten ogromną nałożył na mieszkańców kontrybucyję; skoro zaś senatorowie miejscowi udali się doń z zamiarem protestu.

— I cóż—zawołał do wchodzących—czy przynosicie okup?

— Winniśmy — odrzekł jeden z przybyłych—objaśnić waszą ekscelencyję, iż nie możemy zadekretować wypłaty przeszło siedmiu miljonów złr., jako sumy kontrybucyjnéj, zważywszy, że władze miejskie są rozwiązane i nie mamy na to upoważnienia; sami zaś nie posiadamy tak znacznego majątku, abyśmy mogli zastąpić na razie naszych współobywateli.

— To mię nic nie obchodzi!—fuknął generał. Zdobyłem kraj i nakładam haracz, wedle zwyczaju wojennego.

— Pozwól wasza ekscelencyja zrobić sobie uwagę, że zdobyć można tylko to, co się broni. Frankfurt zaś, zostający pod rękojmią traktatów, nie myślał o obronie.

— Frankfurt znalazł jednak 24 miliony na pożyczkę dla Austryjaków, a więc znajdzie z piętnaście lub szesnaście i dla Prusaków... Co zaś do wykrętów przechowywania kosztowności w tutejszych biurach konsulatów zagranicznych, i temu zaradzimy.

— Wątpię generale—wyjąknął zimno senator—ażeby Niemcy zechcieli traktować po barbarzyńsku braci swoich Niemców.

— Kto tu mówi o Niemcach, mój panie? Przywiodłem na ten cel umyślnie jeden pułk Poznańczyków z sobą.

— Nie zrobiliśmy nigdy nic złego Polakom, przeciwnie, dawaliśmy im ochronę. Poznańczanie nie są naszymi nieprzyjaciołami... nie zechcą nas gnębić!

— Obaczymy! — wrzasnął generał, tupnąwszy za odchodzącymi senatorami.

Na takie gospodarstwo Prusaków zebrali się najbardziéj wpływowi obywatele frankfurtscy, a udawszy się do dyrektora banku, skłonili go do zaliczki miastu, żądanych siedmiu milionów.

Falkenstein pieniądze zabrał, i tegoż samego dnia (19 lipca) z miasta ustąpił. Przybył jednak na jego miejsce generał Manteuffel i nową nałożył kontrybucyję w bajecznéj sumie dwudziestu pięciu milionów złr., mającéj być wypłaconą w przeciągu dwudziestu czterech godzin. A działo się to nazajutrz, 20 lipca 1866 r.

Przerażeni tym wilczym apetytem na pieniądze senatorowie, „bardzo świetni pełnomocnicy miasta,“ jak ich nazwał w swoim liście świeży dowódzca—zbledli nieboracy.

Według obrachunku Niemców, czytających afisze Manteuffla, porozlepiane na rogach ulic — a wiadomo iż rachmistrzów posiada najwięcéj Frankfurt—gdyby w stosunku ludności tego grodu, nałożono podobną kontrybucyją na osiemnasto-milionową ludność Prus, to by Prusacy w ogóle musieli zapłacić trzynaście miliardów; na każdą zaś osobę przypadałoby po 700 złr.

Rotszyld udał się sam do Manteuffla, z przedstawieniem niepodobieństwa wypłaty takiego skarbu.

Generał wysłuchawszy w największem milczeniu wszystkich jego dowodzeń, odpowiedział:

— Jutro wydam mojéj artyleryi polecenie skierowania dział ku głównym punktom miasta; a panom zostawiam trzy dni do namysłu.

Rotszyld dostał czkawki.

Konsulaty, dowiedziawszy się o wszystkiem, wystosowały jednocześnie protest, opatrzony podpisami obywateli, do wojennego gubernatora.

Jako należący legalnie do Ameryki, podpisałem się na petycyi przedstawiciela Stanów Zjednoczonych.

Podanie amerykańskie było po prostu zapytaniem, wywołanem niedorzecznemi pogłoskami, niepokojącemi wszakże mieszkańców o mającem nastąpić bombardowaniu, wolnego miasta,“ z żądaniem należytego wyjaśnienia.

Konsultaty nie odebrawszy odpowiedzi, powywieszały narodowe chorągwie, na znak nietykalności, a same odniosły się do głównych posłów swych narodowości. Wtedy dopiero gubernator odpowiedzieć im raczył, że choć nie ma obowiąsku wdawać się z nimi w korespondencyje urzędowe, sądzi jednakże, iż im, jako nie miejscowym, nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

Tymczasem kanonierzy z zapalonemi lontami przebiegali dzielnice bezbronnego miasta, utrzymując punkt operacyjny na placu Goethe'go.

Prusacy gospodarowali sobie w najlepsze!..

Kobiety doznawszy także od żołdactwa wiele przykrości i upokorzeń, udały się wreszcie za pośrednictwem jednéj z dam, dobrze widzianéj na dworze pruskim, z prośbą do królowéj Augusty o zaradzenie nadużyciom i niesfornym wymogom samowładnych generałów.

I dopiero aż za wstawieniem się godnéj swej małżonki, król Wilhelm kontrybucyją nałożoną przez Manteuffla telegrafem odwołał.

* * *

W końcu września 1866 r. dowiedziano się, że Frankfurt, tracąc swoję wolność, swe przywileje, prawo sejmowe i konfederacyjne, ma być wcielony w dniu 8 października do królestwa pruskiego.

Gdy się ten czas zbliżał, roskazano zawiesić na wszystkich domach chorągwie koloru czarnego z białym, na znak uroczystości. Nikt atoli tego nie uczynił i nikt się na ulicy nie pokazał. Domy i okna były szczelnie pozamykane.

Miasto przedstawiało się jak cmentarz z ogromnemi katakumbami.

Komisarz rządowy ukazał się w gotyckiem oknie i donośnym głosem czytać zaczął:

„Wielka proklamacyja jego królewskiéj mości Wilhelma I, do mieszkańców byłego wolnego miasta Frankfurtu!...“

„Patentem obecnie głoszonym, przyłączam was, mieszkańcy miasta Frankfurtu nad Menem i jego okręgu, do mych poddanych, a wszystkich sąsiadów i braci Niemców. Skutkiem wojny i reorganizacyi wspólnej ojczyzny niemieckiej, zostajecie pozbawieni niezależnéj odrębności, która dotąd wam przysługiwała i wstąpiliście do związku wielkiego państwa, którego ludność jest z wami złączoną językiem, sympatyją, obyczajami i wspólnością interesu...“

Po tych słowach rozległy się na rynku płacz i narzekanie.

Wtedy komisarz, pokrząknąwszy kilka razy, ozwał się na pocieszenie słuchaczy:

„Być może, że po fakcie dokonanym, ze smutkiem przychodzi rozłączać się z dawnemi stosunkami, co były drogie dla serc waszych; szanuję zatem wasze uczucia, bo one dają mi rękojmię, iż wy i dzieci wasze będziecie zarówno stale i na zawsze wiernymi mnie i domowi mojemu. Co daj Boże!“

Wilhelm I.

— Niech żyje król Wilhelm I! – wykrzyknął od siebie pan komisarz—niech żyje król pruski!

W tejże chwili saméj ukazała się chorągiew o czarnéj i białéj barwie na szczycie ratusza, a publiczność rozchodziła się smutnie i po cichu. Sama tylko kapela, obciągnięta w mundury pruskie, wygrywała hymn: *Heil dir im Siegerkranz, etc.* (*d. c. n.*).

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Metoda najnowsza i najpraktyczniejsza nauczenia się języka francuskiego. K. Ploetza. Lwów, nakład Bodeka, 1872.

W dalszém rozwinięciu tytułu téj książki, czytamy że z jéj pomocą można się nauczyć języka francuskiego „prędko, łatwo i gruntownie, bez pomocy nauczyciela“, dalej że autor metody jest professorem przy kollegium w Berlinie, nakoniec że kurs ten jest przyjętym we wszystkich zakładach pruskich i niemieckich. Ilekroć zdarzy nam się wziąść do ręki książkę która w samym tytule wiele pochwalnych rzeczy zapowiada, zawsze z pewném niedowierzaniem przystępujemy do rozpatrzenia jej wewnętrznej treści i wartości. Niedowierzanie takie bywa zwykle uzasadnionem jak to i obecnie ma miejsce odnośnie do metody Ploetza, a mianowicie w polskiéj przeróbce, o któréj właśnie mówić chcemy. Metoda Ploetza sama przez się nie jest jeszcze gorszą od wielu podobnych, chociaż zdaniem naszém o wiele ustępuje metodzie Ollendorfa lub Robertsona, ale co się tyczy polskiej przeróbki to ta, jak wiele zresztą polskich książek, ułożona jest jak najniedbalej i z pogwałceniem naszego języka, oprócz dziwnej grammatycznej terminologii.

są zaimki *pytajne* (zamiast pytające) *liczbowniki* (zapewne liczebniki) i t. p., w przykładach mających służyć do tłomaczenia znajdujemy wiele zdradzających grubą nieznajomość tak polskiego jak i niemieckiego języka, a także krańcową niesumienność w całem opracowaniu. Dość jest sposobem przykładu przytoczyć kilka takich zdań: „Wielka ilość podróżnych *robiła przeprawę*“ (str. 77). „Posłowie rzymscy przybyli do Kartagi żądać wydania Hannibala“ (str. 125). „Dwadzieścia groszy (jakich?) wynosi franka.“ Albo też co najlepsze: „Wielu kupców jeździ *co roku* na *mszę* (?) do Lipska“. Dziwna pobożność pochodząca stąd, że tłomaczowi niechciało się odszukać w słowniku wyrazu Messe znaczącego zarówno wielki jarmark i mszę. Podobnych błędów znaleźliśmy bardzo wiele i dla tego nie możemy polecić téj książki, ani do szkolnego ani do domowego użytku.

J. M. K.

Niektóre psychiczne właściwości kobiet, odczyt D-ra *Alfreda Zgórskiego*. Lwów 1872, str. 35, przypisków str. 2.

P. *Zgórski*, brał udział w odczytach, urządzonych we Lwowie dla kobiet, wykładając psychologiją. Ostatnią swoję prelekcyją wydrukował w broszurze, której tytuł przywiedliśmy powyżej, przeznaczając połowę czystego dochodu na rzecz „funduszu na szkoły ludowe.“ Oddając należne uznanie tak szlachetnemu celowi, musimy zarazem zaznaczyć tak zalety jak i wady jego odczytu. P. Z. zwraca przedewszystkiem uwagę na *fizyjologiczne* różnice kobiet od mężczyzn, nie mogąc tu oczywiście wyczerpać przedmiotu już z powodu rodzaju swego audytoryjum. Nie mówiąc już o stronie zewnętrznej organizmu, w wewnętrznym jego układzie napotykamy większą *prostotę* a mniejszą *siłę;* oddychanie i krążenie krwi *szybciej* się odbywa; nerwy są *cieńsze* i *czulsze*. W skutek takiej organizacyi ciała i wewnętrzna, psychiczna strona kobiety inaczej się trochę przedstawia od psychiki męskiej. P. Z. w zakresie umysłu zaznacza trzy różnice: 1-o samowiedza kobiety jest *uboższą*, gdy w jednym i tym samym czasie *mniej* mieścić się w niej może wyobrażeń; 2-o wyobrażenia te mają charakter więcej *zmysłowy*, gdyż powstały głównie z dostrzegania *zewnętrznego;* 3-o treść samowiedzy kobiecej ulega *częstszym zmianom*, gdyż wrażenia zewnętrzne szybciej i liczniej dochodzą: a *słabiej* działając *prędzej*, wpływ swój na samowiedzę tracą. W zakresie *uczuć* autor nastaje na ich *zawisłość* od mężczyzny, który je wzbudza i w zakresie *pragnień* wykazuje szczuplejsze ich granice. W rezultacie p. Z. tak formułuje swój pogląd: „Życie psychiczne jak fizyczne kobiety—żywsze, choć mniej spożytkuje substratu psychicznego i mniejszego potrzebuje natężenia sił psychicznych. Dlatego też i duch kobiecy więcej zbliżony do przyrody—kobieta jest pierwotniejszym i świeższym przyrody i intelligencyi kwiatem!“ (str. 34). W gruncie rzeczy temu poglądowi trudno odmówić słuszności; dobrze on charakteryzuje *obecny* stan umysłowości kobiecej; kwestyja jednak jak ona w przyszłości przy zmienionych warunkach przedstawiać się będzie, pozostaje nietkniętą. Wprawdzie p. Z. nie mogąc pominąć zupełnem milczeniem wyrazu *emancypacyja*, przyznaje, że „kobiety w pracy i nauce powinny żywszy niż dotąd wziąć udział“; ale niepodobna z tem pogodzić owej uciechy, jaką sprawia autorowi spostrzeżenie, że kobiety nasze w głównych zarysach są jeszcze takie jak matki nasze, *babki* a może i *prababki!*“ gdyż tu loika nasuwa oczywiście myśl, że ponieważ babki i prababki mniej się uczyły od mężczyzn ówczesnych, to i kobietom spółczesnym nic innego robić nie pozostaje. Myśl tę wzmacnia jeszcze sam p. Z. twierdzeniem, że tylko *takie* kobiety jak dotąd były i są, zasługują na miłość, cześć i *szacunek!* Nie robimy p. Z. zarzutu wsteczności; ale niepodobna nie zaznaczyć braku konsekwencyi; tem bardziej gdy przypomnimy sobie frazes, który może tylko dla wywołania uśmiechu słuchaczek wypowiedział (str. 14): „My lubimy panienki trochę *trzpiotowate*—to dodaje im w obec powagi życia pewnego *uroku*—a Panie o tem dobrze wiedzą i do tego się *stosują*.“ Nie sądzimy, ażeby p. Z. na seryjo, chciał swoje słuchaczki *płochości* i trzpiotowatości uczyć...

Pogląd na niektóre zadania społeczne. Skreślił *Roman Bierzyński*. Warszawa, str. 149.

Zbiorek ten składa się z trzech części: 1-o z artykulików w ostatnich czasach pisanych jak: *Postęp, Kalendarz, Prawnictwo, Muzyka, O owadach, Dziennikarstwo;* 2-o z artykułów dawniejszych od r. 1862 w różnych pismach pomieszczanych jak: Oświata ludowa, Pośrednie zakłady karne, przymus osobisty za długi, Kredyt osobisty i t. p. i 3-o ze zdań prasy francuskiej o książce autora p. n. „Sommatologie de la femme,“ wydanej w Paryżu 1869 roku. Oczywiście ostatnia ta kategoryja artykułów ma wartość tylko dla samego autora, bo z ogólników jakie się tam wypowiadają trudno czytelnikowi dojść rzetelnej prawdy. Z artykułów drugiej kategoryi może niektóre miały w swoim czasie jakieś znaczenie, dziś są już przestarzałe; pojedyńcze zaledwo, jak np. *Poczta* mogą być z pożytkiem odczytane, chociaż to samo można znaleść i w Encyklopedyi; najnowsze zaś odznaczają się głównie dążnością do *szykany*, do dowcipkowania, nieraz dosyć zręcznego, ale nie mogącego mieć pretensyi do rozwiązywania *zadań społecznych*. Autor pessymistycznie się patrzy na wszystko co dzisiaj się robi i pisze, nie wierzy w postęp, w doskonalenie się rodu ludzkiego i t. p. i podlewając te swoje niefortunne wycieczki gorzkim sosem, sądzi, że tym sposobem przyczynia się do dobra powszechnego. Jestto omyłka. Szykana rozdraźnia ludzi, i rozłącza ich; a zdaje się, że tylko w zjednoczeniu sił można widzieć trwałą podstawę do zbudowania gmachu oświaty i dobrobytu.

Radziwiłł w gościnie, anegdota dramatyczna w 3-ch aktach przez *J. I. Kraszewskiego*. Lwów, str. 55.

Opowiada p. K. jak Radziwiłł panie kochanku musiał ustąpić z karczmy przed biednym, ale butnym szlachetką *(Hrehorem Kurcewiczem)*, jak potem chciał się mścić i zaprasza go na barszczyk do Nieświeża, a gdy mu szlachcic odmówił, sam wybrał się do niego na zrazy. Szlachcic byłby się zrujnował przyjmując księcia ze świtą; ale Radziwiłł lubiąc swego dworzanina *Szczukę*, który kochał córkę *Hrehora*, poprzestał na nastraszeniu szlachcica i połączeniu ślubnym węzłem dwojga serc kochających się. Brak akcyi nie pozwala uważać tego utworu za dramat, a brak *dowcipu* za przysłowie dramatyczne. Jestto więc dyjalogowane opowiadańko, jak wszystkie prawie dramata znakomitego naszego powieściopisarza. Maluje w niem sympatyczną stronę w tylokrotnie opisywanym już charakterze Radziwiłła. Zasługuje tu na uwagę postać żyda *Słonimca* i *Dyplowicza*, potulnego a przebiegłego sąsiada, który ostrzył zęby (na próżno) na wioskę Hrehora.

P. Ch.

ROZMAITOŚCI.

P. Władysław Mickiewicz wydał w Paryżu jeden tom nieznanych francuskich prac **Adama Mickiewicza**. Obecnie zamierza jeszcze wydać prelekcyje ojca swego o literaturze łacińskiej, miane w Lozannie i Szwajcaryi.

* * *

W Krakowie kończy się druk drugiego tomu „**Dyplomataryjusza uniwersytetu Jagiellońskiego.**“

* * *

Ks. Seweryn Pańkowski przygotował do druku kilka dziełek treści religijnej. i pedagogicznej, a między innemi książkę „**O wychowaniu dzieci polskich.**

ZAGADNIENIA.

Na obsianie całej powierzchni klombu formy kołowej użyto 5 funtów 26 łutów pewnego nasienia; zachodzi pytanie jaki był promień klombu, jeżeli na obsianie każdego kwadratowego łokcia wychodzą 4 łuty nasienia?

Od Redakcyi.

Opiekun Domowy wychodzić będzie nadal w tym samym zakresie i kierunku, o ile takowy w kilkunastu wyszłych pod naszą redakcyją numerach zdołaliśmy rozwinąć i wykazać. Pomimo najgorszych materyjalnych warunków w jakich znaleźliśmy pismo, postanowiliśmy nie szczędzić pracy i kosztów—w głębokiem przeświadczeniu o potrzebie organu, któryby dotykając najbliżéj nas obchodzących spraw rodziny i społeczeństwa, umiał obok postępowéj dążności, uszanować racyjonalnie pojętą tradycyją i był jednocześnie ogniwem wiążącem w pracy dwa następujące po sobie pokolenia, wspólnością zadań i celów. Komitet Redakcyjny dołoży wszelkich starań, ażeby pismo nie tylko ożywić i poczytniejszem uczynić—ale zarazem nadać mu trwałą, rzeczywistą wartość. Wzrastająca liczba prenumeratorów, utwierdza nas w przekonaniu, że praca nasza może się stać pożyteczną i że liczne ulepszenia, jakie w myśl przyjętego rodzinno-pedagogicznego kierunku, tak w samem piśmie, jak i w szeregu lżejszych i poważniejszych wydawnictw przeprowadzić zamierzamy — zyskają, jak o tem nie wątpimy, gorące poparcie czytelników, zgodnie z nami pojmujących ważność zadań, którym postanowiliśmy służyć rozważnie a wytrwale.

Prenumerata Opiekuna Domowego wynosi:

W Warszawie:

Kwartalnie: . . **Kop. 75**

Miesięcznie: . . „ **25**

Na prowincyi:

Kwartalnie: . . **Rs. 1 kop. 20**

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca. Wacław Szaniawski. Redaktor, Henryk Perzyński.

Patrz Dodatek.